



WIDNOKRĄG



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Aleksander Żyga

Czy na Rzeszowszczyźnie rozwija się pisarstwo chłopskie

Jutro w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki w Rzeszowie przy ul. Słowackiego 11, o godz. 10 odbędzie się sympozjum poświęcone twórczości pisarzy ludowych Rzeszowszczyzny.

W czasie sympozjum prelekcje wygłoszą: BRONISŁAW GOŁĘBIEWSKI: „Przemiany społeczno-kulturalne w Polsce w świetle pamiętników”, MIECZYSLAW GRAD: „Wartości pisarstwa ludowego”, ALEKSANDER ŻYGA: „Od Andrzeja Krzyckiego do Romana Turka”, ANNA NIEWOLAK-KRZYWDA „Epika Romana Turka”.

Organizatorami spotkania są: Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy przy ZW ZMW w Rzeszowie oraz „Widnokrąg” — tygodnik społeczno-kulturalny „Nowin Rzeszowskich”.

socjologicznego oraz kulturalno-artystycznego. Owa różnorodność terminologiczna nie sprzyja wcale rozważaniom nad pisarstwem chłopskim, pod którym rozumiem pisarstwo chłopskiego prymitywu, tworzone przez konkretnych autorów mieszkających na wsi i trudniących się rolnictwem, chociaż w ostatnich czasach o takich już coraz trudniej.

Rzeszowszczyzna, kolebka ruchu ludowego, teren działalności ks. Stojałowskiego i takich wodzów ruchu ludowego, jak Jan Stapiński i Wincenty Witos, stanowiła też kolebkę pisarstwa chłopskiego, będącego wyrazem narastania świadomości ideowej warstwy chłopskiej i jej walki o prawa społeczne i polityczne. Wystarczy wziąć do ręki jakiegokolwiek opracowanie całokształtu rozwoju literatury chłopskiej w Polsce, aby się o chlubnym dorobku i wkładzie powiatów Rzeszowszczyzny przekonać. O świetnych tradycjach pisarstwa chłopskiego w Rzeszowskim mówią „Pisarze ludowi” Karola Konińskiego (1938), „Zarys nowszej literatury ludowej” S. Pigonia (1946), „Cierńskie ścieżki literatury ludowej” Józefa Kapuścińskiego (1947). Niemało materiału do dziejów pisarstwa ludowego na tych terenach zawiera książka Stanisława Czernika pt. „Chłopskie pisarstwo samorodne” (1945), oraz „Wstęp” do „Antologii współczesnej poezji ludowej” Jana Szczawieja (1967). Do wymienionych pozycji dodać jeszcze trzeba dwie książki Mieczysława Grada: „Szkice i notatki” (1964) oraz „Pamiętnikarze i działacze” (1969).

Rzeszowszczyzna wydała autorów pierwszych pamiętników chłopskich, które odzwierciedlały ówczesny stan wsi, ukazywały jej zacołanie i niedzę, dawały wzory walki o postęp oraz lepsze jutro wsi polskiej. Są to przede wszystkim pamiętniki działaczy społecz-

nych i politycznych. Z Sobowa pod Tarnobrzegiem pochodził działający pierwotnie pod kuratelą hrabiów Tarnowskich z Dzikowa Ferdynand Kuraś, chłop — poeta i autor pamiętnika pt. „Przez ciernie żywota”, zaszczyconego przedmową Stefana Żeromskiego, którego drugi tom daremnie czeka od tylu lat na swego wydawcę. Spod tegoż Tarnobrzega, stolicy polskiej siarki, wywodzi się Jan Słomka, twórca dwukrotnie wydawanego (1912, 1928) „Pamiętnika włościanina od pańszczyzny do dni dzisiejszych”. Franciszek Magryś z Handzlówki w powiecie łańcuckim pozostawił „Pamiętnik chłopca — działacza” (1932).

(Ciąg dalszy na str. 2)

MY W ĆWIERĆWIECZU

To było 13 lat temu, kiedy po raz pierwszy wśliznęłam się na ciemną widownię podczas próby „Ludzi z martwej winnicy” na osobiste zaproszenie Hugona Morycińskiego, onieśmielona nieco proponowaną mi rolą człowieka mającego pisać o tym teatrze, żenowana własną niedorobnością, nieznaną prawami teatru rządzących, z bagażem literackich

tylko wiadome uroki i sobie tylko znane utrapienia. W dodatku, pisząc o jego 25-letniej działalności — to na pewno tak, jakby po latach chciało się zajrzeć w jego przeszłość do tej pory kożstem żerańszości umniejszającą, a w końcu tak bardzo ważną dla jego dzisiejszego kształtu, zapowiadającą ten kształt, formującą nawyki i gusty.

Sięgając w tę przeszłość, odkrywam naturalnie, że przede mną były inne (inni); z uśmiechem rozrzewnienia więc kwituję te nie — zdrady przedmałżeńskie, w których przelewał się od uczuć. Bo oto znajduję w „Dzienniku Rzeszowskim” już z 26 maja 1945 r. słowa ośnione-

Krystyna Świerczewska

ŁUDZIE TEATR SZTUKA

zaledwie zachwyceń i ani przypuszczając, że od tej chwili wdaję się w zawiły romans z teatrem, właśnie już owe 13 lat trwający. Jak we wszystkich romansach — partner urzekł mnie na początku i jak we wszystkich romansach — wrażliwość stron obu przeszkadzała sentymentem. Poza tym, jak w wielu romansach — czyhały na mnie ucieczki, rozstania i jak w niektórych tylko romansach — powroty. Dziś, po 13 latach kontaktów o różnym natężeniu oraz pięciu latach absolutnej wierności widzę ten związek niemal jak stateczne małżeństwo: to znaczy z całym bagażem wiedzy wzajemnej dwojga skazanych na siebie partnerów. Pisać jednemu o drugim z okazji jubileuszu — to trochę tak, jakby zdradzało się sobie

go recenzenta o pierwszej „Zemście”, reżyserowanej przez Stefanę Domańską, w której:

„Tadeusz Andruchowicz stworzył wspaniały typ krewkiego Cześnika. Niegdyś uczeń, a potem członek zespołu wielkiej artystki Wandy Siemaszkowej, to doprawdy godny uczeń swego mistrza...”

Kazimierz Dejmek w roli pseudo-bohatera Papkina zbierał salwy oklasków prawdziwie zasłużonych... Przemiałą parę kochanków tworzyli Klara — Zofia Gorczyńska i Wacław — Adam Hanuszkiewicz. Naturalną, pełną wyrazu grą dali nam uwierzyć w ich miłość”.

I dalej jeszcze, że „Antoni Odrowąż w roli Rejenta zreszcie odtworzył typ, który pod przykrywką uniżoności i pokory kryje serce zimne i obłudne”, że „Nina Ogińska w roli Podstoliny to pełna wdzięku, porywająca wdówka” i że „reszta obsady z przemilnym Dyndalskim (Jerzy Szpunar — przyp. red.) na czele, na wysokości zadania” no i naturalnie, już na końcu, że „wyraz prawdziwego uznania należą się pani Stefanii Domańskiej za doskonałą pracę w reżyserowaniu „Zemsty”.

A napisana rzecz została w 7 miesięcy po historycznej uchwale PKWN z dnia 7 października 1944, zalecającej utworzenie w Rzeszowie Teatru Narodowego i w pół roku od dnia 25 listopada 1944, kiedy uroczysty koncert zapoczątkował w sali Domu Związków Zawodowych, czyli dzisiejszym WDK, jego działalność oraz w 4 miesiące po utracie dumnego przymiotnika „narodowy” na rzecz skromniejszej, acz odpowiedzialnej dla stanu faktycznego nazwy Teatr Ziemi Rzeszowskiej, poszerzonej w 4 lata później dodatkiem „Państwowy”, a w 14 lat później uzupełnionej imieniem Wandy Siemaszkowej. W rozszerzaniu się nazwiska rzeszowskiego teatru kryją się nie tylko zmiany wiele mówiące, ale przede wszystkim tworzy się je-

(Ciąg dalszy na str. 4)



rys. J. SIENKIEWICZ

Spróbujmy odpowiedzieć na postawione w tytule pytanie, poprzez porównanie obecnego jego stanu z dorobkiem wcześniejszych okresów rozwoju. Zanim tego dokonamy, należałoby pokrótce określić, co rozumiemy pod pojęciem „pisarstwa chłopskiego”, terminu, którego od kilkudziesięciu lat używa się wymiennie z pojęciami „literatura ludowa”, „chłopskie pisarstwo samorodne”, „nowsza literatura ludowa”, czy „literatura chłopska”, aczkolwiek żadne z nich nie obejmuje i nie oddaje dokładnie całokształtu zawartości zmiennego w czasie pod względem treści i formy zjawiska



Archwalne zdjęcie z „Balladyny” Słowackiego w 1945 roku, wystawionej przez Wandę Siemaszkową, w której stworzyła ona również pamiętną kreację Matki - Wdowy.

CZY NA RZESZOWSZCZYŹNIE ROZWIJA SIĘ PISARSTWO CHŁOPIE

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Bogaty w stosunku do innych rejonów kraju rejestr pamiętników chłopskich Rzeszowszczyzny pomnożyły pamiętniki tutejszych chłopów wydane dopiero po drugiej wojnie światowej, aczkolwiek niejednokrotnie napisane o wiele wcześniej. Wymienić tu trzeba przede wszystkim „Pamiętnik” Jana Stapińskiego (1958) i „Wspomnienia” Jana Madejczyka (1965) — pamiętniki czołowych działaczy ruchu ludowego w okresie 20-lecia międzywojennego i czasach wcześniejszych; nazwisko odkrytego a właściwie „namówionego” do pisania przez Mieczysława Grada, Jana Stryczka z Woli Dalszej pod Łańcutem, autora „Chłopskim piórem” (1956). Z ostatnich wspomnień, najstarszej już generacji działaczy chłopskich wspomnieć należy o pamiętnikach napisanych z okazji 70-lecia ruchu ludowego, zamieszczonych w opublikowanych niedawno „Wspomnieniach weteranów ruchu ludowego” (1968). Mieczysław Grad, który przygotował te wspomnienia do druku, odkrył przed laty w Woli Dalszej pod Łańcutem obok pamiętnikarza Stryczka talent chłopskiego gawędziarza Romana Turka, którego zbeletryzowane wspomnienia — gawędy „Moja mama, ja i reszta” (1961), podobnie jak dalszy ich ciąg pt. „W służbie najjaśniejszego pana” (1964) w tysiącach egzemplarzy obiegły kraj i zostały z aplauzem przyjęte przez czytelników i przez krytykę.

Bardziej jeszcze okazała i zaszczytna jest w dziejach pisarstwa chłopskiego karta Rzeszowszczyzny w zakresie poezji chłopskiej. Ferdynand Kuraś oraz Jan Rak z Husowa, których wiersze znalazły się nawet w niektórych antologiach poezji polskiej, uważani są za prawdziwych ojców poezji chłopskiej w Polsce. Pochodzący spod Tarnobrzega Stanisław Gąsiorowski, piszący pod pseudonimem Sta-

talentów chłopskich w kraju i na Rzeszowszczyźnie. W samym tylko powiecie łańcuckim Bronisław Nadolski znalazł do roku 1948 — jak o tym czytamy w jego rozprawie pt. „Samorodna literatura chłopska w ziemi łańcuckiej” opublikowanej dopiero w roku 1966 w „Zeszytach Naukowych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika” w Toruniu — nie tylko dawnych, ale „odkrył” i kilku nowych autorów chłopskich, którzy dotąd swoich piodów literackich nigdy nie publikowali. Obok Franciszka Magryśia, Jana Sobka oraz szeregu innych byli to: Walenty Kunysz, Władysław Kisała i Jan Micał — wszyscy z Kraczkowej, Franciszek Olbrycht z Kosiny, Walenty Perce z Husowa, Maria Puterla z Błędowej Tyczyńskiej oraz Franciszek Fołta z Gaci przeworskiej. O twórczości wielu dawniejszych i świeżo „odkrytych” w tym czasie pisarzy chłopskich na Rzeszowszczyźnie informuje S. Czernik w „Chłopskim piórze samorodnym”. Na podstawie bogatego materiału, który zebrał jako kierownik poradni przy Wilejskim Oddziale Związku Literatów Polskich oraz korespondencji własnej wydobyl on z zapomnienia piarstwo szeregu nieznanych dotąd autorów tego regionu, podtrzymując i dla tych lat dla Rzeszowszczyzny miano „wylegarni talentów chłopskich”. Zainicjowana przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą „Biblioteka Pisarzy Chłopskich” przypominała w specjalnych wyborach m. in. także czołowych pisarzy chłopskich Rzeszowszczyzny: Jana Raka, Ferdynanda Kurasia, Antoniego Balawajdra z Markowej, piszącego pod pseudonimem Wojciecha Trąby, Stanisława Gąsiorowskiego i Wojciecha Brewicza.

Co może tej bogatej tradycji piarstwa chłopskiego na Rzeszowszczyźnie zaprezentować współczesność, dla której za umowną granicę możemy przyjąć rok 1960, a właściwie i ściśle rzecz biorąc, datę utworzenia w Lublinie w roku 1965 Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych, przekształconego w kilka lat później w ogólnopolskie Stowarzyszenie Twórców Ludowych. Obecnie ośrodkiem kontynuacji piarstwa chłopskiego stał się Lublin z wydawaną tam od kilku lat „Lubelską Biblioteką Ludową”, w której obok tomików poszczególnych pisarzy chłopskich z całego kraju centralne miejsce zajmuje przekształcona niedawno w rodzaj regularnie wychodzącego rocznika „Więś tworcza”, stanowiąca rodzaj antologii pisarzy chłopskich, niejednokrotnie nazywanych przez wydawców ludowymi. Do dyspozycji pisarzy chłopskich stoi także otwarty kwartalny dodatek do lubelskiej „Kamery” pt. „Ziemia i Pieśń”.

Mówiąc o sytuacji i stanie współczesnego piarstwa chłopskiego na Rzeszowszczyźnie, pragnę się zastrzec, że rozważania swe opieram na materiałach i źródłach wyłącznie drukowanych, co nie znaczy, aby poza nimi nie było autorów wspomnień i wierszy, których plody piarskie nie weszły do dotychczasowych publikacji, albo się z nimi nie ujawniają trzymając je ukryte w zeszytach.

Do niedawna na około stu zarejestrowanych w Międzywojewódzkim Klubie Pisarzy Ludowych w Lublinie pisarzy chłopskich z całej Polski, i na Rzeszowszczyźnie było zaledwie pięciu: Stefan Gębała z Radomyśla nad Sanem, Stanisław Harla z Zaborcza w powiecie mieleckim, Józef Kapuscinski z Przemysła, Walenty Kunysz z Kraczkowej oraz najmłodszy wśród nich Czesław Skórski z Sieklówki Dolnej w powiecie jasielskim. Liczba ich powiększyła się w ostatnich latach o kilka nazwisk, wśród których na uwagę zasługują: Stanisław Horszowski z Górcz powiatu brzozowskiego, Józef Ryś z Łaki w powiecie rzeszowskim, wiodący swój ród z Rzeszowskiego, Adam Mirkiewicz, Franciszek Lipiński, Zbyszko Sławian Orliński oraz młody Stanisław Gubała. Pierwsi z nich to reprezentanci żelaznego repertuaru utworów do publikowanych ostatnio antologii poezji chłopskiej. W stosunku do liczby pisarzy z innych ośrodków Polski, liczba mała, co świadczy raczej o powolnym zmierzchu chłopskiej poezji Rzeszowszczyzny niż jej rozwoju, choć z drugiej strony słyszy się o uprawianiu jej jeszcze na szeroka skalę. Wspomniłem o tym przed kilku laty w swym artykule w krakowskim „Zyciu Literackim” Franciszek Kotula. Tak np. w „Antologii współczesnej poezji ludowej” Jana



JÓZEF KAPUSCINSKI

Szczawieja, znajdujemy tylko 41 wierszy 8 poetów z Rzeszowskiego na ogólną ilość 750 z całego kraju, w której uczestniczy 80 poetów. W przedmowie do niej zastrzega się wprawdzie autor, że opracowana przez niego antologia nie odzwierciedla wiernie stanu rozwoju poezji chłopskiej na ziemi rzeszowskiej, a to z tego powodu, że nie dostarczono mu wszystkich adresów chłopskich poetów regionu, ale to, co w niej się znajduje, nie napawa optymizmem wielbicieli tej poezji na Rzeszowszczyźnie. Antologia Szczawieja zawiera na ogół wiersze poetów chłopskich najstarszego pokolenia, z których w trakcie druku książki zmarli J. Kapuscinski i W. Brewicz. Z najstarszej generacji obok nich znajdujemy tu wiersze znanego zbieracza przysłów i pamiętnikarza, autora aforyzmów i wierszy, Walentego Kunysza z Kraczkowej, utwory Józefa Rysia z Łaki oraz niewiele od nich młodszego Stanisława Harli z Zaborcza w Mieleckiem. Ze średniego pokolenia — znanego już Czernikowi i Nadolskiemu Marii Puterli-Moderowej. Do „odkrytych” przez Szczawieja należą: Janina Guzy w powiecie łańcuckim i pochodzący z Ropczyckiego, a mieszkający obecnie na Pomorzu Antosz. Jedyny reprezentant najmłodszego pokolenia Czesław Skórski nie ratuje honoru współczesnej poezji chłopskiej Rzeszowskiego i nie rzuca lepszych perspektyw jej rozwojowi.

Nie lepiej przedstawia się udział „rzeszowskich” poetów w wydawnym w rok po ukazaniu się antologii Szczawieja trzecim tomie „Wsi tworczej”, w którym obok tych samych poetów starszej generacji: Harli, Kapuscinskiego, Kunysza, Rysia, Skórskiego — z autorów rze czywiście chłopskich znalazły się tylko pisane gwarą wiersze Stanisława Horszowskiego. Niestuszenie bowiem, moim zdaniem, wcelono do tego tomu „Wsi tworczej” i założono do poezji chłopskiej wiersze F. Lipińskiego, autora 10 już tomików poezji, jako też Stanisława Gubały i Zbyszka Sławian-Orlińskiego, ludzi wykształconych.

Skądinąd wiadomo, że oprócz objętych antologiami chłopskiej poezji autorów oraz publikujących swe utwory w pismach ludowych, żyją i piszą na Rzeszowszczyźnie chłopci, którzy niechętnie przyznają się do swego piarstwa i tylko jakiś przypadek ujawnia ich twórczość. W Ożogowskiej Nienadówce, pod Kołbuszową, mieszka i pisze nieznanym prawie nikomu Wojciech Biernat. Tadeusz Nuckowski „odkrył” w Krównikach koło Przemysła starszkę — improwizatorkę, której dyktowane rymy opublikowane zostały w prawie co wydanej książce „Z dziejów kultury i literatury ziemi przemyskiej”. Kazimierz Górowski pisze w artykule ogłoszonym niedawno na łamach rzeszowskich „Profilów” o szeregu pisarzy „ludowych” w Krośnieńskim, eksploatujących tematykę naftową: A. Kurka, A. Poźniaka oraz Elżbietę Zimę z Lubatowej.

Jak można wywnioskować z piarstwa wspomnianego przez Górowskiego, Poźniaka i A. Kurka, w obecnych warunkach tradycyjna poezja chłopska w wyniku zachodzących zmian socjologicznych wewnątrz wsi rzeszowskiej, zaczyna coraz częściej grawitować ku poezji śródwiskowo-zawodowej, której tematem jest już nie tylko pejzaż,

uroki życia wiejskiego, ziemia oraz praca rolnika, ale wchłania ona inne motywy współczesnego życia na wsi. Sądząc z rozwijania się i uprawiania „poezji naftowej”, wnet chyba doczekamy się „poezji tarnobrzęskiego zagłębia siarkowego”, tworzonej przez tamtejszych chłopów-robotników.

Przyczyn powolnego upadku tradycyjnej poezji chłopskiej w Rzeszowskiem można upatrywać z jednej strony w gwałtownym wdzieraniu się na współczesną wieś rzeszowską oświaty i kultury, drogą masowego przekazu. W rezultacie wiejskie talenty mając możliwość awansu społecznego i kulturalnego nie poprzestają na tworzeniu w oplotkach wiejskich, od razu są wchłaniane przez poezję oficjalną. Masowa migracja synów wsi rzeszowskiej do miast, pozabawiła je talentów, które tutaj pozostawały. Tradycyjną poezję chłopską prymitywny kontynuują tu już tylko zasiedzieli i wierni wsi reprezentanci najstarszej jej generacji, a ich wiersze coraz bardziej oddalają się i pozostają w tyle za rozwojem stajnącej w wielu wypadkach wzór dla niej poezji oficjalnej.

Pozostaje faktem niezaprzeczo-nym, i niedwuznacznym, że w zakresie poezji chłopskiej nie może się Rzeszowszczyzna dziś poszczycić takimi talentami, jakimi na miarę swych czasów byli utalentowani jej rodacy: Jan Rak, czy Ferdynand Kuraś, czy talentami w rodzaju Jana Poeka.

W przeciwieństwie do zaznaczającego się na Rzeszowszczyźnie zmierzchu poezji chłopskiej, nieźle prezentuje się pamiętnikarstwo. Pamiętniki piszą ostatni mohikanie ruchu ludowego i działacze społeczni i polityczni, kontynuują swoją działalność pisarską — zbieracze, roz-wija ją na wielką skalę pamiętnikarstwo konkursowe.

Nie mając dokładniejszego rozeznania w sytuacji, poprzestaną tu tylko na wymienieniu paru piszących chłopów. Odtwarza swe zagubione dzieje rodzinnej wsi Kraczkowa Walenty Kunysz, kontynuuje swe piarstwo gawędowe wspomniany Roman Turak z Łańcuta.

Renesans swój przeżywa w Rzeszowskiem pamiętnikarstwo konkursowe. O obfitym udziale najmłodszego pokolenia wsi rzeszowskiej świadczą wspomnienia z zorganizowanego w roku 1961 przez Związek Młodzieży Wiejskiej, Ludową Spółdzielnię Wydawniczą i Komitet Badań nad Kulturą Współczesną Zakładu Socjologii PAN, publikowane w zaplanowanej na 12 tomów serii „Młodego pokolenia wsi Polskiej Ludowej”. Kilka pamiętników rzeszowskich uczestników znalazło się w tomie pt. „Moje pierwsze kroki na ziemi” (1969), będące plonem konkursu zorganizowanego w r. 1966 przez Zarząd Główny Związku Młodzieży Wiejskiej i redakcję tygodnika „Zarzewie”. Wreszcie wiele ich napłynęło z rzeszowskich wsi na konkurs zorganizowany w r. 1961 przez redakcję „Zielonego Sztandaru”, redakcję Audycji dla Wsi Polskiego Radia, redakcję Programu Wiejskiego Telewizji i Ludową Spółdzielnię Wydawniczą pod nazwą „Moje życie w Polsce Ludowej”. Świadczą o tym liczne cytaty z tych pamiętników w ostatniej książce M. Grada pt. „Pamiętnikarze i działacze”. Wśród nagrodzonych oprócz Stanisława Komarzewicza, przewodniczącego Koła Gospodyń Wiejskich ze Skołoszowa, w powiecie jarosławskim, znalazł się m. in. jeden z zdobywców pierwszych nagród w międzywojennym konkursie „Wiadomości Literackie”, a mianowicie Andrzej Urban z Lutczy, w pow. brzozowskim, za kontynuację swego pamiętnika międzywojennego. Publikują je obecnie rzeszowskie „Profile”.

Od prawej: Henryk Burzek i Marcin Osiniak



Laureaci III Przeglądu Amatorskiej Twórczości Filmowej Metalowców

Na III Ogólnopolskim Przeglądzie Amatorskiej Twórczości Filmowej Metalowców we Wrocławiu przedstawiono 40 filmów z całego kraju. Wśród nich był także jeden z Mielca, nazwany przez jego twórców — „Nektary”. Podobnie jak i pozostałe powstał w prymitywnych warunkach, jako że kluby filmowe i indywidualni zapaleńcy napotykały braki odpowiednich materiałów i sprzętu w handlu. „Robiono” więc go przez pełny rok w małym pokoiku mieleckiego Domu Kultury, w prywatnych mieszkaniach, a zdjęcia bez reflektorów elektrycznych. A jednak jego twórcom udało się stworzyć film, który uzyskał najwyższą ocenę wszystkich jurorów. Wydana ona została za dobór tematyki, doskonały komentarz, muzykę, kolorystykę i przede wszystkim — za formy i technikę zdjęć. „Nektary” składają się z czterech działów: „Kosmos”, „Okupacja”, „Wyzwolenie” i „Pożegnanie”. Cały film oparty jest na zdjęciach m. in. mieszkańców Mielca, członków zespołu „Rzeszowiacy”, widoczków z Zakopanego, Śląska. Jest barwny, żywy i zawiera wiele scen graniczących z niesamowitością np. postać kobiety wirującej w kosmosie, „Rzeszowiacy” tańczący wśród fal na Wistocie i co ciekawe — oglądając je ma się wrażenie naturalności, choć efekty uzyskano tylko dzięki pomysłowości autorów. W sumie doskonały film na ponad 1,5 godziny. Przemawia bogatą treścią, formą i obrazem. Zdobył I miejsce i najwyższą nagrodę 5 tys. zł. Zakwalifikowany też został na przegląd filmów amatorskich 25-lecia PRL (organizator CRZZ), który odbędzie się jeszcze w br. na statku-hotelu „Batory” w Gdyni.

A oto autorzy mieleckich „Nektarów”: reżyser — Henryk Burzek, operator filmowy — Marian Osiniak, komentarz — Henryk Pietrzyk, muzyka — Jerzy Kopcewicz.

(a. rys.)

Od prawej: Henryk Burzek i Marcin Osiniak



JAN STRYCZEK

na nad Sanu, autor „Pieśni oraczy”, hymnu niezależnej Partii Chłopskiej, stał się wyrazicielem buntowniczych dążeń chłopów tworzących tzw. Republikę Tarnobrzęską. Był on obok Wojciecha Brewicza z Osobnicy w Jasielskim, autora modnej wśród ludowców pieśni „Nam szumią zielone sztandary”, reprezentantem wojującego nurtu w poezji chłopskiej 20-lecia międzywojennego. Razem z pochodzącym spod Przemysła Józefem Kapuscinskim organizował związek pisarzy ludowych, czynił starania o wydawanie dla nich specjalnego organu literackiego. Obfitość autorów chłopskich z Rzeszowszczyzny dała Czernikowi asumpt do nazwania tej ziemi „wylegarnią talentów chłopskich”.

Pierwsze lata Polski Ludowej i na Rzeszowszczyźnie stworzyły warunki lepszemu startu literackiego i publikacji dla pisarzy chłopskich. Powstał dla nich Oddział Wiejski Związku Literatów Polskich, chętnie przygarniały ich i publikowały ich utwory tygodnik „Więś” oraz inne pisma chłopskie. Okres ten możemy uznać dla rozwoju piarstwa chłopskiego za kontynuację 20-lecia w nowych warunkach. Nastąpił nagły „wybuch”



W pierwszym rządzie od lewej: Franciszek Buratowski, Bohdan Kiziukiewicz, Stefan Winter, Stanisław Bieliński, Jerzy Kobryń, Jerzy Pleśniarowicz, Tadeusz Czarnowski, Irena Perkowska.
 W drugim rządzie od lewej: Teresa Ujazdowska, Zofia Gorczyńska, Zdzisław Kozień, Jadwiga Ulatowska, Antoni Kossowski.
 W trzecim rządzie od lewej: Waclaw Rybczyński, Anna Kujatowicz, Józef Jachowicz, Barbara Kozłarska, Adam Fornal, Irena Chudzikówna, Jadwiga Wysocka, Urszula Nowacka, Wincenty Zawirski.
 W czwartym rządzie od lewej: Tadeusz Olesiński, Irena Zuromska, Jan Adamski, Jan Stawarz, Zbigniew Zaremba, Irena Angerman, Henryk Gońda, Stefania Massalska, Jerzy Kulicki.

Pamiętam śluby sprzed dwudziestu kilku lat... Szczególnie jeden utkwił mi w pamięci. Zenił się w miasteczku młody ślusarz. Prosto z pracy, nawet nie zrzucając roboczego ubrania; nie ogolony, w wojskowych walonkach, poszedł do Urzędu Stanu Cywilnego za swoją wybranką. Był luty i na polu srożył się tegi mróz. W nieopalanym maleńkim pokoiku USC panował okrutny ziąb. Urzędnika, który miał im udzielić ślubu nie zastali. Burmistrz kazał jednak czekać, twierdząc, że urzędnik lada chwila się zjawi.

Istotnie przyszedł po dwudziestu minutach, przeproszając za spóźnienie. Wprawdzie nowożeńców uprzedził o dacie i godzinie ślubu, ale przecież się nie rozerwie. Dziś w miasteczku był jarmark, on pełnił dodatkowo funkcję targowego i musiał ścigać opłaty. I tak szczęście dla pary młodych, że skończył robotę przed piętnastą, ponieważ po godzinie urzędowania już by im ślubu nie udzielił.

W małej puściuteńkiej sali USC, jednej chyba z najgorszych w całym budynku, zajmowanym przez radę narodową, bez krzesel, ze starym stołem z porzysowanym blatem, z gołymi ścianami i chwiejącą się podłogą, poza nowożeńcami i garstką ciekawych dzieciaków, które mimo przenikliwego zimna cierpliwie czekały oraz urzędnika w wytartym kożuchu nie było więcej nikogo.

Urzędnik chuchając w zgrabiące ręce pisywał dane personalne młodej pary: imię i nazwisko, imiona rodziców, daty urodzenia, miejsce zamieszkania itp.

— A gdzie świadkowie? — zapytał nagle, podnosząc wzrok nad papierów.

Krótkie zamieszanie. Państwo młodzi o świadkach zapomnieli. Wybiegli więc na ulicę i po chwili wrócili z dwoma świadkami: z listonoszem, który akurat skończył obchód swego rejonu i szedł do urzędu pocztowego oraz ze sklepiarkiem.

Urzędnik poprosił młodych i świadków o złożenie podpisów...

Edward Wisz

ZANIM POWIEDZĄ: TAK!

— No, to od tej chwili wobec prawa jesteście małżeństwem — powiedział i uściśnął młodym dłonie.

— To już koniec? — dziwił się pan młody.

— Oczywiście odparł urzędnik. — Weź pan teraz świadków do gospody i postaw im po jednym.

— Tylko mi się nie spij — przestrzegła żona. — Masz zaraz wrócić.

Widziałem jeszcze sporo lnych ślubów i wesel. Do ceremonii w Urzędzie Stanu Cywilnego, które były krótkie i nadzwyczaj proste, nie przywiązywano wtedy specjalnie uwagi. Małżonkowie szli ubrani byle jak. Zawierali swój związek w obecności tylko dwóch świadków i urzędnika. Wszystko to wyglądało bardzo ubogo i schematycznie.

A dziś? Nawet w najbardziej zapadłej wsi nikt nie przyjdzie do USC w gumiakach, czy watawanej kufajce. Zresztą sama ceremonia ślubów cywilnych uległa radykalnym zmianom i przeobrażeniom. Jest bardzo uroczyste, wesole, a przy tym dostojne. Sale ślubów, to przede wszystkim najbardziej reprezentacyjne pomieszczenia wydzielone w radach narodowych tylko do zawierania małżeństw, świeckich chrzcin, które ostatnio zaczynają sobie zdobywać prawo obywatelstwa. Na podłodze dywany, w oknach firany, na ścianach, prócz godła, barwne reprodukcje. Długi stół przykryty kolorowym sukniem i wszędzie dużo... dużo kwiatów. W rogu magnetofon lub adapter i taśmy albo płyty z marszami weselnymi. Krzesła zastąpiono miękkimi fotelami.

W naszym województwie tylko na urządzenie wnętrza USC wydano w ciągu 4 ostatnich lat ponad 3 mln złotych. To prawda, że nie mamy na Rzeszowszczyźnie pałaców ślubów, jakimi chlubią się Katowice czy Warszawa. Choć jednak dużo, dużo skromniejsze, przeciętne pomieszczenia, w których łączą się losy dwojga młodych ludzi robia na człowieku niezatarte wrażenie. Przepięknie np. wygląda sala ślubów w Jarosławiu, Przemyślu, Rzeszowie, Ropczycach, Brzozowie, nawet w takim małym miasteczku, Sędziszowie, gdzie o kameralny i interesujący wystrój wnętrza postarali się uczniowie Technikum Plastycznego. Oglądałem sale ślubów w najbardziej odległych od głównych szlaków gromadach w powiatach gorlickim, ustrzyckim, sanockim, lubaczowskim... Nie były to — rzecz jasna — tego typu apartamenty, jakimi dysponuje Rzeszów, Jarosław, Przemyśl, Debica... Niektóre mieszczą się w drewnianych budynkach, są małe, przyciasne. Niemniej jednak i tu widać rękę dobrego gospodarza. Wyróżniają się czystością i schludnością. W każdym jest też radio, płyty, dywan i kwiaty... Zamiast kryształowych pajaków, żyrandole, kinkiety.

Pytałem wszędzie, czy wystrój wnętrza, cała ceremonia związana ze ślubami cywilnymi, świeczkami „chrzciniami”, odgrywają jaką rolę? Czy ludzie, którzy tu przychodzą, by zawrzeć związek małżeński, nadać dziecku imię zwracają na te szczegóły uwagę? Odpowiedź była jednoznaczna: tak. „Bo to proszę pana człowiekowi inaczej na duszy się robi, kiedy usłyszy marsz Mendelssohna, wnętrza rozjaśni się dziesiątkami świateł, spotyka się z po-

wagą, uroczystą oprawą, czego tak szybko się nie zapomina”.

Często młodzi sami urozmaicają i wzbogacają ustalony rytuał. Pięknie prezentują się małżeństwa zawierane przez wojskowych, milicjantów, strażaków. Na wsi do Urzędów Stanu Cywilnego przychodzą kapelle, przygrywając młodym w czasie uroczystej ceremonii. Potem, po wyjściu z USC są jeszcze przeróżne bramy, tradycyjne okupy itp.

Nieprzypadkowo zresztą na początku tej publikacji zrelacjonowałem przed dwudziestu kilku laty. W lipcu br. wyszła za mąż córka owego ślusarza, nauczycielka. Brała ślub w Jarosławiu, skąd pochodził jej narzeczony, technik. Jakże odmienna sceneria...

Jest niedziela. Przed USC zajędzają taksówki. Z pierwszej, czarnej wołgi, wysiadają państwo młodzi. On ma na sobie czarny garnitur, śnieżnobiałą koszulę, ciemny krawat, białe rękawiczki, na nogach lakiery. Ona ubrana jest w krótka sukienkę z białej koronki; ciemne włosy okrywa cieniusieńki jak pajęczyna welonik, spity dyskretnie wiankiem z mirtu. W rękę trzyma bukiet róż. Są rodzice młodych, krewni, znajomi, przyjaciele. Po schodach przykrytych barwnym chodnikiem goście weselni wchodzi do USC. Wpierw jeszcze drobne formalności. Odbywa się to dyskretnie, taktownie. Wszyscy przechodzą teraz do sali ślubów, rozjaśnionej dziesiątkami świateł. Sala przystrojona przepięknie. Nie ma na szczęście chaosu organizacyjnego, jaki obserwuje się jeszcze w niektórych urzędach, ponieważ dobrze wywiązuje się ze swej roli mistrz ceremonii, który wszystko

to zgrabnie ujmuje w określone ramy. Moment jest przecież taki, że wymaga godnego zachowania się, powagi.

Bocznymi drzwiami wchodzi mężczyzna w czarnym garniturze, z godłem państwa na piersiach. Pyta o personalia, następnie o wolę zawarcia związku małżeńskiego. Młodzi powtarzają rolę przyrzeczenia.

Urzędnik mówi. Znam to. Styszałem te słowa niejednemu raz, biorąc udział w ceremoniach zaślubin koleżków, przyjaciół. Ależ nie! Urzędnik wyraźnie odstępował od tego, czego nauczył się na pamięć, od gotowych formuł, które powtarzają jego koledzy „po fachu” z innych USC. Mówi od siebie, prosto, zrozumiale, z sercem. Przypomina o obowiązkach, jakie na małżeństwach ciąży. Podaje za wzór ich rodziców, którzy wychowali swoje dzieci na wzorowych obywateli. Traktuje młodych indywidualnie. Powołuje się na opinie z zakładów pracy, w których są zatrudnieni. Technik jest w przedsiębiorstwie budowlanym wzorowym pracownikiem i znanym racjonalizatorem. Niedawno otrzymał odznak „Zasłużony dla województwa rzeszowskiego”. Nauczycielka, to ceniona działaczka młodzieżowa. We wsi, w której uczy założyła zespół artystyczny, zajęła się młodzieżą tzw. trudną.

Krewni, przyjaciele, znajomi są wzruszeni. W oczach rodziców widać łzy.

Niestety nie za często zdarza się aby urzędnicy USC, łączący młode pary, tak życzliwie, niewymuszanie i nieschematycznie traktowali nowożeńców, chociaż Urząd Spraw Wewnętrznych Prez. WRN, na te zdawałoby się drobne, ale niezmiernie ważne szczegóły ślubnego ceremoniału zwraca szczególną uwagę. Zresztą — całkiem słusznie. Nie tylko bowiem żyrandole, kwiaty, wspaniałe obrazy, dywany, drogie fotele decydują o moralnych i etycznych walorach ceremoniału zaślubin, ale życzliwe i niewymuszone potraktowanie mło-

(Ciąg dalszy na str. 4)

przypomnieć parumiesięcznej dyrektury Andrzeja Michejdy w 1953 i takież — dyrektora Jerzego Kobrynia w 1955, który z niewielkimi zresztą przerwami pełni funkcję zastępcy dyrektora od tamtej pory po dzień dzisiejszy.

I na dobrą sprawę tu kończy się dla mnie historia teatru — a zaczyna czas własnej jego obserwacji. Wraz z Hugonem Morycińskim, Stefanem Winterem i Stanisławem Bielińskim, z których pierwszy panował nam niepodzielnie w latach 1955/58, drugi najdłużej — bo od 1958 do 1965, a trzeci nastąpił lat temu cztery — smak własny był mi przewodnikiem i nie mogę go nie uwzględnić.

Morycińskiego zawsze będę pamiętała poprzez świetną inscenizację „Balladyny”, dobry spektakl „Przepióreczki” Zeromskiego, interesujące „Wesele”, kontrowersyjną „Burzę” Ostrowskiego, poprzez rozmach tych inscenizacji; będę go widziała jako poszukiwacza niespokojnego, któremu śnił się teatr daleki prowincjonalizmowi. Winter zapisał się przede wszystkim spektaklami „Wojny i pokoju” Piscatora w inscenizacji Ireny Babel, pełnym prostoty, urokliwym, harmonijnym „Weselem”, wystawionym z okazji XX-lecia Teatru im. W. Sieroszewicza i wreszcie „Śmierci komiwojażera” Millera; zapisał się poza tym kreacjami aktorskimi starego księcia Bołkońskiego, tragicznego Lomana, profesora Moebiusa. O Stanisławie Bielińskim najtrudniej pisać, bo trwa jego kadencja, bo otrzymaliśmy w ostatnim okresie „Trzy siostry” Czechowa i „Operę za trzy grosze”, „Kariere Arturo Ui” i „Hamleta”, „Odpocznij w biegu” i „Jadzie wdowę”, toteż trzeba jak zwykle czasu, żeby dopomógł zatrzymać rzeczy wartościowe, a pokrył znową milczącą niewartą pamięć drobiazgi. Także za jego dyktandem odbyła się udana premiera sztuki Abramowa „Derby w pałacu”, reżyserowanej przez Stefana Wintera oraz subtelna, filozoficzna „Antygona” Anouilha w reżyserii Jerzego Pleśniarowicza, który jako kierownik literacki towarzyszy niezmiernie temu teatrowi od 1952 r. i który, już jako reżyser, przysporzył tej scenie 13 premier. Ostatnią była właśnie sprzed kilkunastu dni „Niespokojna starość” Leonida Rachmanowa, ze scenografią Ireny Perkowskiej — drugiej nieodłącznej towarzyszką rzeszowskiej sceny, której skromne rozmiary usiłuje poszerzać

swoim talentem wrażliwego scenografa przez 16 już lat.

Kończąc historię ludzi teatru nie potrafię się oprzeć czarowi wspomnień i sentymentom dla niektórych nazwisk: bo to przecież tu, na tej scenie w 1958 roku Jerzy Jarocki inscenizował „Zaklinacz deszczu” Nasha — przedstawienie świetne, z doskonałymi prowadzonymi aktorami, i tu — przed trzema bodaj laty Zdzisław Dąbrowski zaproponował nam ciekawego Słowackiego „Dramatem bez tytułu”; tu znalazły się u początków kariery Zofia Bajuk — Natasza z „Wojny i pokoju” oraz Genowefa Wydrych — pamiętne brzydkie kaczątko w roli Marii Bołkońskiej, tu jeszcze w „Ludziach z martwej winnicy” poznałam młodziutkiego Sochnackiego, tu jawi się przede mną Sieniawianka z „Przepióreczki” — Henryka Rodkiewicza, stąd pomknęła w Polskę utalentowana Lidia Maksymowicz, Józef Fryźlewicz, tu zostawił nam wspomnienie o ciekawych koncepcjach scenograficznych Salomea Gawrońska i Stanisław Szymański, tu reżyserował parę sztuk i grał w nich Bolesław Smela, tu błysnęła wielkim talentem w „Medei” Celina Klimczak, stąd odeszło dwoje najstarszych: niezapomniana Helena Puchniewska oraz reżyser i aktor Ireneusz Erwan, tu widziałam parę znakomitych ról Grzegorza Galińskiego, Włodzimierza Mancewicza. Nie uda mi się pomieścić wszystkich, bo pamięć zawodna; w trzynastoletnim romansie z teatrem gubi mnie po prostu wielość partnerów.

Sięgnęłam jednak po tradycję ćwierćwiecza i czytając ten fragmentaryczny zapis dziejów teatru, może nawet kosztem teraźniejszości, chciałam przypomnieć tych ludzi, którzy go formowali, którzy nawet odchodząc w inne rejony kraju i tracąc wszelki kontakt z dniem dzisiejszym teatru — częścią siebie w nim pozostawili. Z tego konglomeratu działań ludzkich, pomnożonych przez pasję jednych, talent drugich, a nawet rzemiosło rzetelnie pracujących — wyłaniał się kształt sztuki osobliwej, jaką jest teatr; czasem ów kształt majaczył ledwie wyraźny — czasem lśnił blaskiem harmonijnej formy; czasem drażnił — czasem zachwycał; czasem działał prowokacyjnie na widza — czasem obezwładniał go nudą. Wszędzie tam jednak, gdzie go nie pozostawiał obojętnym — spełniał podstawową funkcję sztuki.

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA



CAF — fot. A. ŁOKAJ

Justyna Woś

Swaszka wiedeńska

Nie swaszka była w centrum zainteresowania tego wieczoru. Choć prawdę mówiąc wspomnienie o niej dało asumpt do grzebania w pamięci, odwoływania się do mglistej autopopisy o dzieciństwie, do odtwarzania tego barwnego obrazu: ludowego wesela. Kto je pamięta?

Joanna Głodowska — to kobieta młoda, nie mogła więc widzieć wesela, wesela przygotowywanego z ceremoniami obrzędu trwającego najmniej trzy dni. Babcia tylko lubiła często powtarzać, iż jak „przyjechało wesela z Budziwoja do Tyczyna!... Czegoś takiego świat nie widział!”

Widowisko musiało mieć chyba szczególny urok, skoro podobno oczarowało wiedeńskiego artystę, malującego na początku naszego stulecia kościół tyczyński. Widać nie omieszkał zdać relacji w cesarskiej stolicy. Jak to było naprawdę? Anegdota w którymś miejscu nabiera cech autentycznego faktu, bo oto w 1908 r. podczas uroczystości sześćdziesięciolecia urodzin Fransa Józefa ogląda w Wiedniu weselny orszak z Budziwoja!

Ta parada była chyba jakimś mocnym akcentem folklorystycznym wesela z tej polskiej wsi. Budziwojskie obrzędy, jak wiele innych, czas skazał na zagładę. Już po pierwszej wojnie takie wesela jest unikalnym wydarzeniem, w okresie międzywojennym już niespotykanym. Dziś o świetności tych obyczajów możemy wspominać, bo żyje „wiedeńska swaszka” Aniela Jopek, niezrównana mistrzyni w strojeniu

weselnej różgi Magdalena Działosz, obserwator prezentacji orszaku w Wiedniu kapitan Bomba i inni, którzy niejednokrotnie wspomnieniami ubarwiają wieczorne gawędy w budziwojskich domach.

I pozostałoby chyba tylko wspomnienie, gdyby nie Koło Gospodyń Wiejskich. Tak, właśnie. Na „babskim sejmie” raz pewnego, tyczynianka (obecnie wędrami rodzinnymi związaną z Budziwojem) — p. Głodowska wygłosiła płomienną odezwę o... ratowaniu ginącej tradycji. Było trochę śmiechu z tej agitacji, ale co żywo myśl poparła swoim autorytetem przewodnicząca Koła — Wiktoria Pitera i... rozpoczęły się działania. Penetracje strychów, zbieranie świstków z zapiskami przyspiewek, wywiady u najstarszych mieszkańców, odtwarzanie, zapisywanie, ruch, szum... Gdy ze swoimi planami kobiety zjawily się u 80-letniego Władysława Płodzenia, ten nie dosłuchawszy relacji do końca, nałożył kapelusz i wyleciał z izby, aby kogoś zachęcić do pomocy... A pomógł kapitan Bomba — zbieracz pieśni i swoją aprobatą Eugeniusz Grzebyk, rozmówca muzyk, który podjął się również poprowadzić „weselną kapelę”. Nawet oporni mężowie i gospodarze, którzy początkowo uważali, iż „nie przystoi występować na scenie”, zostali przekonani o słuszności zamysłu. Nie było również kłopotu z młodzieżą, której choć bliższy big-beat dała się porwać urokiem przyspiewek i „polkom przez nogę”...

Każdy wieczór ściągał do Ludowego Domu Kultury babcie i dziadki, którzy na gorąco dokonywali korekty opracowanego przez Tomasza Borowca scenariusza „budziwojskiego wesela”. Chodziło przecież o prawdziwą rekonstrukcję obrzędu!

Rzeczywiście — porywający to żywioł. Jak wyszła kapela, nogi same rwały się do przytupu, chciało się razem z weselnikami śpiewać i dowcipkować — bo czuło się atmosferę i smak folklorystycznego obrzędu chociaż na scenie.

Trudno precyzować opinię o specyfice obyczajowej budziwojskiego wesela na podstawie oglądu inscenizacji, która jest koniecznym i świadomym skrótem tylko niektórych elementów z autentycznego obrzędu, rozłożonego kiedyś w rzeczywistości na kilka dni. Dzięki wydawnictwu „Wesele kraczkowskie” W. Kunysza można przeprowadzić paralele, wydobyc wspólne cechy regionalnego wesela w Galicji, można znaleźć też reprezentatywne i typowe tylko dla danej wsi różnice. I jakkolwiek „kraczkowskie” jest zdecydowanie bogatsze w rytuale ceremonii przedweselnych (zmówny, osłoby, paciery) jeszcze bogatsze sceny właściwej uroczystości weselnej — to jednak syntetyczny skrót budziwojskiej inscenizacji sygnalizuje także wielkość i różnorodność o-

byczajów świadczących o rozmia-
rach dawnych wesel w tej wsi.

Jeszcze raz nie na scenie, lecz w dzień później po spektaklu (25 bm.) w kręgu Koła Gospodyń Wiejskich, gospodarzy i młodzieży — odtwarzał się obraz wesela. Opowiadano o figlach, psikusach, o beztroskiej, tryskającej humorem zabawie, o poczynaniach zadziornych budziwojaków, tak jak w przyspiewce:

Nie uwierzysz moja, moja
że jo mazur z Budziwoja
Jak jo hulom, jak jo pije
taki mazur niechaj żyje.

...i w wielu innych charakterystycznych piosenkach będących zwierciadłem cech ludzi, obyczajów wsi. Obok występują też pełne powagi piosenki patriotyczne, rozmowy polityczne, którym w sukurs idzie przecież historia i tradycja ruchu ludowego. Toteż pełne uzasadnienie w tekście (a poparte w rzeczywistych faktach z przeszłości) ma również — jak chórem przekonał zespół — nawet stylizowany dialog.

Ojciec młodej: żeby to była wolna Polska, to by może prędzej ty sprawiedliwości znalazł (...i o jakiej godo ks. Stojałowski.

Jedna z kobiet: Widzieliście jak się to z naszego Wojtka polityk robi? A tyś słyszol w niedziele jak ks. proboszcz w Tyczynie na kozaniu godali? Jak sie będzie kto ze Stojałowskim zadawał to rozgrzysznia nie do!

Ojciec młodej: Wielkie rzeczy. Pójdę do Bernardynów do Rzeszowa i rozgrzysznia dostane (...)

W te gadki wpleciony jest fragment „miałes chmie czapke z piór” z Wyspiańskiego, co dowodzi, że było to śpiewane w czasie wesel, jak zresztą wiele innych pieśni patriotycznych zaczerpniętych z oficjalnej literatury. Charakterystyczny to moment dla właściwości folkloru, wchłaniającego „obce” elementy, przez transwację, adaptację i różne przeróbki — z czasem traktując je jako ludową twórczość. Przykładów takich pełno znajdziemy w „Weselu kraczkowskim” Kunysza, w zapisach haczkowskich, domaradzkich i innych inscenizacjach weselnych.

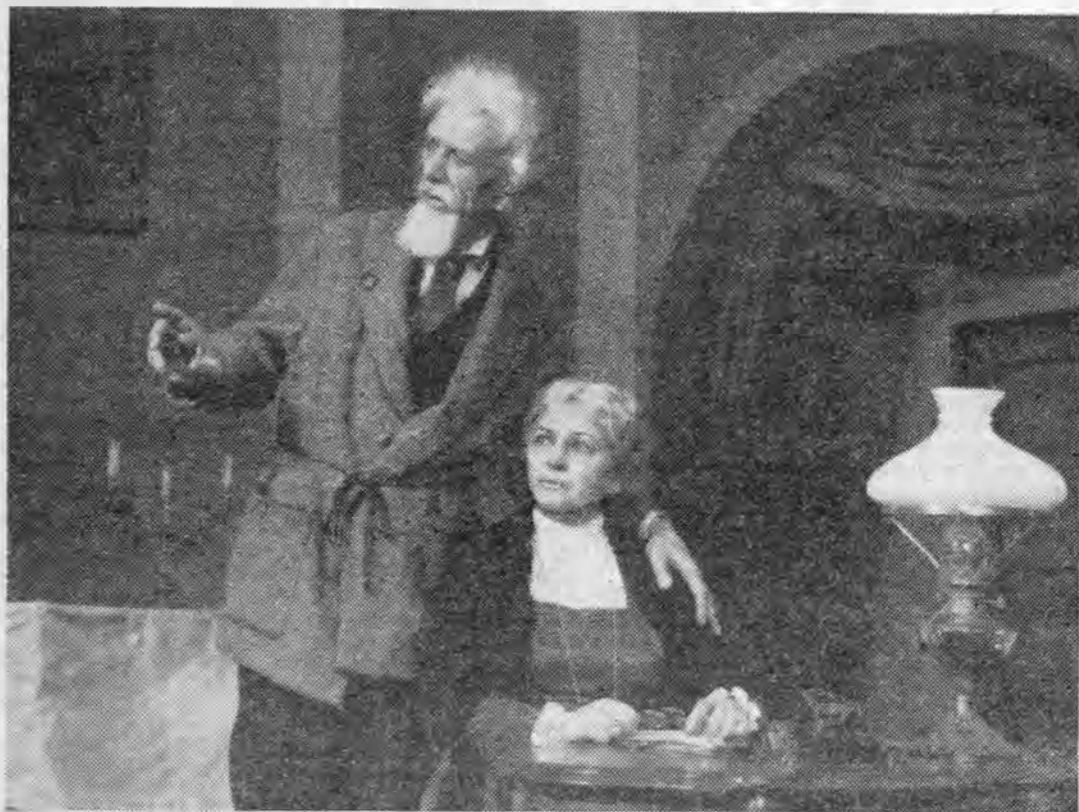
Patrząc z tego punktu widzenia — wesele ludowe jest więc nie tylko świadectwem barwnych żywotnych kiedyś obrzędów, ale także dokumentem codziennego życia wsi, jej powiązań z dziejami i wydarzeniami historycznymi.

Szczerze więc należy przyklasnąć temu spontanicznemu zrywowi tych, którzy włożyli nieco wysiłku, aby odtworzyć tradycję przeszłości, aby wesele było nie tylko wspomnieniem „wiedeńskiej swaszki”, aby zobaczyli je na scenie ci, którzy nie ujrzą już tego w rzeczywistości.

Może zwróci ono także uwagę ludzi kompetentnych, etnografów, znawców folkloru?

Na zdjęciu: scena z ostatniej premiery sztuki Leonida Rachmanowa „Niespokojna starość”, w reżyserii Jerzego Pleśniarowicza, z Ireną Zuromską (Maria Lwowna) i Wacławem Rybczyńskim (Profesor Poleżajew). Sztukę wystawiono z okazji Dekady Kultury Rosyjskiej FSRR.

Fot. FR. MYSZKOWSKI



Państwo Kennedy, jeszcze dzieckiem wyznaczył swego pierworodnego na urząd prezydenta, a po jego przedwczesnej śmierci swoje aspiracje polityczne przeniesił na drugiego syna, Johna, który został lokatorem Białego Domu. I wśród nas są tacy, którym po urodzeniu rodzice wyznaczyli zawód, ba, nawet postannictwo, np. artyści. Taki niejednokrotnie już od dziecka, ku utrapieniu sąsiadów, bębni na pianinie, a gdy ma zostać sławnym konstruktorem, to ma do dyspozycji cały arsenał odpowiednich zabawek.

Najważniejszą drogą prowadzącą do urzeczywistnienia planu jest oczywiście szkoła. Jeśli dany zawód wymaga studiów, to z reguły uczeń podejmuje naukę w liceum ogólnokształcącym. Swoje ambicje wzmacnia wielu rodziców dodatkową edukacją dziecka, posyłając je do szkoły muzycznej, na kursy języków obcych, niekiedy angażując nauczyciela rysunku, przed egzaminami obowiązkowo korepetytor, który uczy sztuki zdawania egzaminu do danej szkoły, na określony kierunek studiów. Jakże często taka obróbka dziecka bywa wręcz żalonna; głuchy Paganini nie zostanie, nawet jeśli tatę stać na fortepian, a Jankowie Muzykanci giną w tłumie...

Na swój sposób wszyscy myślą o przyszłości swojego dziecka, jedni podejmują decyzję, gdy jest ono w kołysce, inni dopiero wówczas, gdy kończy szkołę podstawową. Jakże działają na bodźce i antybodźce? Co sprzyja, a co przeszkadza w urzeczywistnieniu planów?

Dwaj koleżdy urzeczni odbornikami radiowymi i telewizyjnymi; jeden sięgał nawet po książkę z tej dziedziny, a drugi wykazywał się talentem w palcach. Zdolniejszy chciał się uczyć w technikum, a jego kolega, obawiając się egzaminu wstępnego, wybrał kierunek monter radi i telewizji w zasadniczej szkole zawodowej. Kandydat na technika zdał egzamin, lecz z braku miejsc nie został przyjęty, podjął naukę w szkole, do której poszedł jego kolega, jednak nie w klasie radiowo-telewizyjnej, lecz kowalskiej, bo tylko tu były jeszcze wolne miejsca.

Znajomy nauczyciel powiedział mi, że obecny system rekrutacji karze zdolnych i ambitnych. Ocena może przesadzona, ale z pewnością system ten nie jest doskonały. Wiele młodzieży podejmuje naukę nie w szkołach, do których jest predestynowana, lecz w tych, w których aktualnie są wolne miejsca. Lepiej nie pisać o skutkach, gdy nie lubi się danego kierunku nauki, a jeszcze gorzej — wyuczonego zawodu.

Inny przykład. Rolnik z odległej od miasta wsi ma średnio prosperujące gospodarstwo i trzech synów, z których tylko jeden może pozostać na roli. Wybór padł na średniego, bo kondycja fizyczną przewyższał braci. Inne kryteria nie wchodziły w grę. Najstarszego, o anemicznym wyglądzie, przepadającego za książkami, przeznaczył ojciec „do szkół”; za radą nauczyciela posłał go do liceum ogólnokształcącego. Trzy lata dojeżdżał autobusem, w ostatniej klasie ojciec zafundował mu stancję, łóżko w czteroosobowym pokoju, za 400 zł miesięcznie plus dwa metry ziemniaków na zimę i pół świni.

Chłopiec zdolny, podjął później studia medyczne, a młodszy brat ukończył szkołę rolniczą z ogrodniczą specjalnością, co trochę podniosło dochody gospodarstwa, ale nie za wiele, bo do miasta daleko, a na wiejskie punkty skupu nie można zbyt liczyć, jak obrodzą ogórki, to akurat skupują pomidory. Żywił niechęć do starszego brata, miał mu za złe jego studia w mieście, podczas gdy on musi parobkować u ojca, nie ma i długo nie będzie miał własnych pieniędzy, chyba że wracając z targu ukryje parę złotych. A jego rówieśnicy, którzy dojeżdżają do pracy w mieście, sprawili już sobie ciemne garnitury i białe koszule, odkładają pieniądze na

motocykle, protekcyjnie stawiają piwo dawnym kolegom.

Nie wiem, w jakim stopniu przykłady te pozwalają na uogólnienia, ale zdają się nieodparcie prowadzić do stwierdzenia, przed którym, urzeczni społeczną rangą oświaty w Polsce Ludowej, raczej się bronimy: po co się długie lata uczyć, skoro można wcześniej zarabiać pieniądze. Czy w tej sytuacji punkty za pochodzenie cokolwiek pomogą?

Zapoznałem się ostatnio z wynikami badań przeprowadzonych w kilkunastu wsiach. Najczęściej kształcą swoje dzieci rolnicy mający gospodarstwa wyspe-

Zdzisław Koziol

PUNKTY I SZARE KOMÓRKI

czalizowane, zmechanizowane. Zachodzi też współzależność między wielkością gospodarstwa a aspiracjami rodziców: na studia trafiają częściej dzieci rolników mających wzorowo prowadzone gospodarstwa średnie i duże, natomiast synowie i córki rolników uboższych, żyjących z drobnych gospodarstw, uczą się zazwyczaj w zasadniczych szkołach zawodowych, rzadziej w technikum. Do liceów ogólnokształcących, a później na studia częściej też posyłają swoje dzieci chłopcy-robotnicy. Trzeba jeszcze podkreślić, że wśród młodzieży akademickiej pochodzenia chłopkiego zdecydowanie przeważają ci, którzy uczyli się w pełnych szkołach podstawowych, wyposażonych w pracownię i pomoce naukowe. Słowem, dynamika wpływu młodzieży na studia uzależniona jest od rozwoju gospodarczego, społecznego i kulturalnego wsi. Istotnym czynnikiem jest zamożność rodziców.

Autor tych badań twierdzi, że wiadomość o preferowaniu za pochodzenie potraktowała młodzież wiejska, jako zapowiedź taryfy ulgowej, więc na uniwersytety wyruszyli nawet słabeusze. W tym dopatruje się gorszego przygotowania części kandydatów, ale nie przeprowadził dowodu na tę tezę. Udowodnił natomiast, że problem równego startu rozwiąże dopiero generalne uporządkowanie spraw polskiej wsi, poczynając od komasacji, mechanizacji, na szerokim upowszechnieniu oświaty i kultury skończywszy.

Tak podciągnięcie wsi do poziomu miasta i zrównanie pracy fizycznej z umysłową załatwił jeszcze parę innych spraw, nie tylko kwestię punktów za pochodzenie. Zresztą w komunizmie znikną podziały klasowe, lecz żeby wpiąć osiągnąć poziom społeczeństwa socjalistycznego trzeba nam wiele mądrych głów, trzeba stać się wzbogacać potencjał intelektualny narodu. Tegimi móżgami obdarza Bóg, nie według kryteriów klasowych; psycholog powie, że w każdej populacji jest jakiś procent szczególnie utalentowanych, natomiast to, co nazywamy ogólnie warunkami społecznymi decyduje, czy te talenty będą ujawnione, rozwijane.

Chyba nie przypadek zrzucił, że akurat w dwóch supermocarstwach, w USA i ZSRR, tyle uwagi poświęca się kształceniu utalentowanej młodzieży. Sędziwy cesarz Etiopii, który jest ministrem oświaty w swoim rządzie, przyniósł stypendium zagraniczne synowi pasterza kóz, jeśli jest on zdolniejszy niż kontrkandydat, syn rasy. W moim przekonaniu pozytywnym dorobkiem dyskusji o punktach za pochodzenie jest wysunięcie kwestii kształcenia młodzieży utalentowanej. Na ten temat wypowiedzieli się najbardziej kompetentni, profesorowie szkół wyższych, w tym czołowi przedstawiciele polskiej nauki. Tych głosów nie wolno lekceważyć, a postulaty trzeba adresować i do ministra oświaty i szkolnictwa wyższego, i do poszczególnych nauczycieli, a być może i inni też mają sporo do zrobienia.

Wróćmy do podanych na wstępie przykładów, a raczej konkluzji, jakie one nasuwają. Są rodzice, którzy bezwzględnie chcą kształcić swoje dzieci. Ambicjonalnymi, emocjonalnymi bodźcami kierują się przede wszystkim rodziny inteligentne, w tych środowiskach coraz prężniejsza jest chęć kształcenia dzieci. Jednak ta grupa społeczna nie jest na tyle liczebna, by mogła swoimi dziećmi obsadzić większość miejsc na naszych uniwersytetach i politechnikach. Celowo zagadnienie uprościłem, ale w takim ujęciu jaskrawiej widzimy konieczność szukania zdol-

nych się, że problem preorientacji zawodowej załatwia taśmowy system badania w poradni psychologicznej; doświadczeni psychologowie mówią, że niejednemu dziecku trzeba poświęcić nawet kilka godzin.

Talenty giną już w toku przejścia ze szkoły podstawowej do średniej. Przyczyn należy dopatrywać się m.in. w nieskutecznie często tylko formalnie prowadzonej, preorientacji zawodowej oraz w wadliwym systemie rekrutacji i egzaminów wstępnych.

Bazą rekrutacyjną na studia są licea ogólnokształcące, które w czasach pragmatyzmu straciły

Na codzień mówimy, że koszty zniechęcają wielu rodziców do kształcenia dzieci w zawodach, wymagających długich lat nauki. W tym m.in. zwykle się dopatrywać przyczyn spadku w szkołach wyższych odsetka młodzieży robotniczo-chłopskiej. Nie będą ewentualnymi postulatami straszy ministra finansów, tym bardziej, że nowy system stypendialny łagodzi kryteria materialne uprawniające do korzystania z pieniężnej pomocy państwa. Warto też podkreślić, że obecnie samorządy robotnicze będą mogły sprawować funkcje opiekuńcze i wychowawcze wobec studentów, dzieci zasłużonych robotników, fundując własne stypendia.

Czy jednak obecny system stypendialny dostatecznie preferuje młodzież szczególnie uzdolnioną? Chodzi o wysokość stypendiów naukowych. Wydaje mi się, że w niektórych, innych krajach, system stypendiów naukowych jest bardziej zróżnicowany, a każde z nich nosi imię wybitnego przywódcy, uczonego lub pisarza, co zwiększa rangę wychowawczą otrzymywanych pieniędzy. Sprawa jednak najważniejszą są internaty i domy studenckie, bo wydatki na stancje stanowią chyba najważniejszą pozycję w budżecie rodziny kształcącej dziecko poza miejscem zamieszkania. W pierwszym rzędzie chodzi o internaty dla uczniów liceów ogólnokształcących.

Skoro już mowa o kosztach

kształcenia, to trzeba też wspomnieć o swoistej atmosferze panującej w pewnych społecznościach uczniowskich i studenckich, w której bardzo źle czuje się przysłowiowy kopciuszek. To też w dużej mierze powoduje, że pewne szkoły uchodzą za drogie. Wielu rodziców unika tych szkół. Uwzględnijmy wychowawcze aspekty tego zagadnienia.

*

Sprawa kosztów kształcenia. O tym publicznie niechętnie się mówi, bo a nuż ktoś zarzuci nam, że poddaje się w wątpliwość pomoc ludowej ojczyzny dla uczącej się młodzieży. W czasie pobytu na Węgrzech wręcz zaszokowała mnie wiadomość, że z nowym rokiem akademickim studenci będą płacić czesne, proporcjonalne do zamożności rodziców, najniższe sytuowani praktycznie symbolicznie, by zaś otrzymać stypendium — nie wystarczy zaświadczenie, że tata mało zarabia, trzeba się jeszcze dobrze uczyć. Naprawdę dobrze. Spieszę wyjaśnić, że nie agituje za czesnym, chcę tylko podkreślić, że w innych krajach, chociażby na Węgrzech i w Bułgarii, system stypendialny mocniej niż w Polsce dopinguje studentów do nauki.

ZDZISŁAW KOZIOL

Roman Turek

SYRENA W DALEKI ŚWIAT

Fragment

Krótki postój na komorze celnej na granicy Rumunii: podnosi się barwny szlaban. Za kierownicą na odmianną zięć. I czy to fantazja z czasów kawalerskich zaczęła go podnosić, czy zagrały w nim ambicje pokazania, że i on szofer nie od macochy, dość, że gna jak opętany. Klaniający się nam obramowane pozłociste wielkie tarcze słoneczników, porastające zwartym murem nieprzejrzanym okiem łany, po obu stronach gładkiej jak stół szosy.

Zasadniczym jednak celem naszej podróży jest Bułgaria, do której jedzie się i jedzie, a końca Rumunii nie widać. Nareszcie granica. Dłuższy postój, nocleg: następnego dnia przy kierownicy znów córka. Wyścig zaczyna się od nowa, po bułgarskiej już ziemi. Syrenka dokazuje cudów. Zmuszony od czasu do czasu ze strachem otworzyć oczy odnoszę wrażenie, że gnając z takim impetem wszystkie te pętające się na przedzie i z boków, zachodnioeuropejskie gruchoty w drobny mak poroztrzaskujemy. Sunie przed nami wielka stodoła. Smrodzi sino-czarnym dymem, ale ucieka wartko, obawiając się widocznie, byśmy jej naszym nosem zadu nie pokiereszowali. Po pewnym czasie w sznurze śmigających tam i nazad pojazdów, ukazuje się nie bardzo wielka luka. Z szoferki jadącej przed nami stodoły wyłania się ręka i machająca jak wiosłem daje znak „lewej wolnej” do wyprzedzania. Ani chybi, zdenerwowany szofer chce mieć raz spokój.



Od zadu przynajmniej. Niewielka, ale widać krzepka stopa mojej córki całą siłą naciska akcelerator: jak ukąszone przez gacię, skoczyła Syrenka na lewo i wprzód. Był to już jednak jej ostatni, desperacki wprost wysiłek. Wyprzedziwszy co tylko wielką stodołę, ryknęła pomrukiem źle zarzynanego wieprza, diabelski zaiste pęd samowolnie zwolniła, a spod brzucha jej buchnął dym czarny, jak spod spódnicy leżącej na motle czarownicy. Mrugając ślepiami

świata! stodoła, zwolniła biegu dając Syrenie możliwość zjechać na pobocze szosy. Stanęliśmy wśród barwnie ukwieconych pól urodzajnej Bułgarii.

Co robić? Do jazdy jest nas czworo, do kierownicy, szoferów, ostatecznie nie najgorszych dwoje. Ale konowała, żeby to czteroosobowe bydlę zbadać i z chorobą uleczyć, nikogo.

W dodatku kraj obcy i nigdzie w pobliżu osiedli ludzkich, gdzie można by się spodziewać warsztatu mechanicznego. Poznaawszy z naszych min z troską, dwaj turyści Niemcy, zjechali na pobocze szosy, wysiedli z „Wartburga”, porozmawiali z zięciem i córką, po czym zajęli się badaniem „Syreny”. Manipulując niedługo z pomocą drutu, kleszczy i młotka mechanicy owi orzekli, że błąd został usunięty doraźnie i, że jechać można. Nagrodzeni słowami podziękowań zniknęli wkrótce z naszych oczu, my też ruszyliśmy w dalszą drogę. „Syrenka” odpoczęła, za kierownicą siadł czas. Ruszamy. Zawadiacki dotychczas pojazd rozleniwiał się i ani rusz zmusić go do pośpiechu. Pochłania przestrzeń z szybkością nie większą niż 50 km na godzinę, a ryczy przy tym jakby i tak działa mu się krzywdą. Paliwa klepcze jak notoryczny opój, dymi nie gorzej komina piekarni mechanicznej w Łańcutcie, podobnie marny też przynosząc pożytek. Taką to ślimaczą wprost jazdę przebyliśmy około

(Ciąg dalszy na str. 8)

O STUDENCKIM CHLEBIE DALSZYCH SŁÓW KILKA

(Głos w dyskusji o kulturze studenckiej)

Z pewnym zaskoczeniem (nareszcie coś o kulturze studenckiej), a za razem z dużym zainteresowaniem, przeczytałem w dwóch ostatnich numerach „Widnokragu” artykuły polemiczne atakujące i broniące dotychczasowe osiągnięcia kulturalne studentów. Ponieważ los chciał zaliczyć mnie do grona studiujących w rzeszowskiej uczelni, obracając się w pobliżu tych, którzy torują drogę kulturze studenckiej mam zamiar pchnąć jeszcze głębiej kij w „mrowisko” jak to optymistycznie napisał P. T. Wojnar. Azali będąc z natury pesymistą nie jestem wcale pewien czy 4-tysięczne mrowisko obudzi się gremialnie z 5-letniego prawie snu i na stawiane zarzuty odpowie czynem. Moim cichym marzeniem jest, by owe zarzuty przebudziły kilkudziesięciu, no, kilkunastu studentów, którzy pokazaliby „frajerowi” piszącemu te słowa, że ma bielmo na oczach i ani trochę racji.

W swoich dyskusyjnych artykułach zarówno p. Romer, jak i p. Wojnar stwierdzają, że nie wszystkich studentów opanowała dretwota, że byli i są tacy, którzy starają się coś zrobić. Rzeczywiście coś się dzieje, a raczej zaczyna się dopiero działać, bo chyba ani „Meluzyna”, ani „Czarne kwiaty” ani „Rybałci” nie reprezentują osiągnięć specyficznej studenckiej działalności kulturalnej. Owszem studenci brali udział w programach „Meluzyny” w inscenizacji „Czarnych kwiatów”, ale byli tam tylko i wyłącznie wykonawcami, wyreżyserowanymi i opracowanymi przez reżyserów zawodowych programów, które były wizytówką ZDK WSK i WDK na jednym czy też drugim festiwalu, ale przecież nie na festiwalu studenckim. Bardzo dobrze też świadczy o tych nielicznych szukających artystycznego wyżycia się studenta, trzeba

się tylko zastanowić, dlaczego nie stworzono im ku temu warunków w murach uczelni.

„Rybałci”. Rzeczywiście reprezentowali WSP na VII Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie, ale dziwię się bardzo organizatorom, że regulamin dopuszczał do konkursu zespół całkowicie niestudencki. Zarówno ich działalność „artystyczna”, jak i innych zespołów mocnego uderzenia polegała li tylko na dostarczeniu pieniążków do kasy RU ZSP. Będąc przy mocnym uderzeniu, z żalem niestety, ale muszę się podpisać pod twierdzeniem p. Romera, że: „...najczęstszą formą obcowania ze sztuką są dla rzeszowskich studentów koncerty big-beatowe lub udział w zabawach tanecznych”, i uważam, że obwiniane za ten stan rzeczy programy szkoły podstawowej i średniej, jak to czyni p. Wojnar jest delikatnie mówiąc infantylne, bo przecież wybierający się na uczelnie niekoniecznie humanistyczną, uczeń ma za sobą dwunasto- a nawet trzynastoletni kurs nauzciania przedmiotów humanistycznych opierających się przecież w większości na zdobyciach kulturalnych lat minionych. Dlatego nie można za ten stan rzeczy winić szkoły podstawowej czy średniej. Uważam, że winna jest tutaj „chęć wyrwania się” z domu, spod kurateli rodziców i szkoły. Wielu, bardzo wielu studentów rządzi jak to się mówi na zabawach, w kawiarniach, na prywatkach uważając, że po ciężkiej pracy, jaką jest nauka należy się tylko i wyłącznie bawić, a forma tej zabawy przybiera zazwyczaj najbardziej prymitywny wygląd, bo przecież nie samym chlebem p. Wojnar student żyje, postny chleb ciężko przechodzi przez gardło, trzeba go poić, a gro studentów nie lubi mleka czy też wody mineralnej. Taka jest niestety prawda.

To fakt, że nie wszyscy bawią się w ten sposób. Są tacy, którzy czują się wyalienowani z „wesół” bawiącego się grona studentów i próbują bawić się odmiennie. Starają się stworzyć coś poważniejszego, coś ogólnostudenckiego, ale widocznie ta forma „zabawy” nie odpowiada ogółowi, czego dowodem może być powstanie i przejście w zapomnienie „Giełdy Studenckiej”.

Jest również wielu studentów, którym studia mijają na nauce, spaniu i jedzeniu. Proszę w tym miejscu nie myśleć, że występuję przeciwko uczeniu się, ale wydaje mi się, że współczesny pedagog powinien być ze sztuką, kulturą na ty nie tylko poprzez książkę, ale i przez życie. Dlatego też bardzo dziwna wydaje mi się sytuacja kiedy to przy rozprawdaniu biletów ulgowych! (to też ważne) na spektakle teatralne, kilkudziesięcioosobowe zapotrzebowanie składają studenci wydziałów technicznych przy kilku dosłownie biletach dla polonistów czy też rusycystów.

Osobną sprawą stanowią wszelkiego rodzaju odczyty, spotkania, prelekcje. Wiadomo, że dotychczasową formę: 1. wykład prelegenta, 2. 5-minutową dyskusję trzeba było odstawić do „lamusa”, ponieważ nie tylko że nie zachęcała, ale wręcz odstraszała wytwarzając wśród nie tylko studentów kompleks odczytowy. Prawdą jest również, że na odczyty z naukowcami trzeba było przychodzić ze słownikiem Kopalińskiego w ręce, ale...

Parę tygodni temu w klubie uczelnianym „Odmieniec” studenci zorganizowali spotkanie z dziennikarzami „Nowin Rzeszowskich”, którego forma całkowicie odbiegała od stereotypu. Nie słuchano odczytu, ale dyskutowano i to bardzo długo i ciekawie. Przykry natomiast jest fakt, że z 2 tys. studiujących przybyło na spotkanie (w sposób nie nadający się nawet do opisanja) zaledwie kilkanaście osób. Nawet „z ciepłutkiego” jeszcze „Prometeja” nikt nie zaszczylił spotkania swoją obecnością. Czyżby już kompleks wyższości? Wynika z tego, że można z pozornie nudnej imprezy zrobić coś ciekawego, prowokującego do osobistego zaangażowania się w dyskusję. Tylko czy to chwyci? — oto jest pytanie. Chcę również napisać słów parę o mieszkańcach Rzeszowa. Asumpt do tego wynurzenia dała mi wzmianka p. Wojnara o niezwy-

kle „macierzyńskich” uczuciach, jakimi darzą swoich żaków rzeszowianie, każąc płacić sobie za urągające podstawowym warunkom sanitarnym pokoje aż 900 złotych. Fakt ów świadczy niestety przeciwko mieszkańcom miasta i wcale się nie dziwię, gdy w oczach wielu studentów widać zły błysk na dźwięk słowa rzeszowianin. Bo, w tym wypadku rzeszowianin nie brzmi swojsko, brzmi nieufnie jak nazwisko faceta, przed którym trzeba się mieć na baczności, bo inaczej przerobi człowieka na szaro. A studenci widząc otaczającą ich nieufność, uznawać będą dalej, że wychodzenie komuś na przeciw jest bezcelowe, no bo po co? By dostać od razu kontre? Kogo tu winić? Proszę? Ja się ustawiłam w środku, wytknęłam tylko wady, sądzić nie leży w mojej gestii. Student (nazwisko znane redakcji)

Rzeszowska grafika w Poznaniu

Interesująco wypadła prezentacja rzeszowskich plastyków na II Ogólnopolskiej Wystawie Młodej Grafiki w Poznaniu. Czterem autorem Bożeną Korską, Włodzimierzowi Kotkowskiemu, Józefowi Gaździe i Jerzemu Biernatowi jury przyjął, co warcie jest podkreślenia, 15 z 16 nadesłanych prac. Aczkolwiek całą czwórkę ominięły przyznane wyróżnienia w formie twórczych stypendiów, sam fakt uczestniczenia w tak poważnej imprezie plastycznej mówi sam za siebie. Choć dominowały na wystawie tak aktywne ośrodki w kraju, jak Kraków, Warszawa, czy Wrocław i nazwiska o ustalonej już renomie, zestaw rzeszowskiej grafiki został zauważony przez kry-

tykę i przyjęty bardzo przychylnie. Dał temu wyraz w obszernym wstępie do katalogu wspomnianej wystawy Andrzej Kostolowski, pisząc m. in. „Czterdziestu dziewięciu najmłodszych grafików pokazujących prace na tej wystawie to reprezentacja niemal charakterystyczna. Widoczna tu jest aktywność kilku środowisk, przy czym należy podkreślić ekspansję ośrodków mniejszych (Rzeszów), które mają wszelkie dane, aby zarysować w przyszłości własne, zdecydowane oblicze”. Duże to wyróżnienie naszego, nie mającego zbyt bogatych tradycji środowiska graficznego, stwarzające optymistyczne przesłanki na przyszłość. (am)

- KSIAZKI KLUBOWE**
1. Lenin W. I.: Dziecięca choroba „lewicowości” w komunizmie z 15,—
 2. Lenin — Dziedzictwo myśli leninowskiej T. 1—10 z 100,—
 3. Lenin w Krakowie i Krakowskiem. Praca zbiorowa z 80,—
 4. Lenin — Zarys biografii z 20,—
 5. Drabkina E.: Na przelomie zimy z 15,—
 6. Krasin J. A.: Lenin, rewolucja, współczesność z 30,—
 7. Polacy o Leninie z 60,—
- ★
8. Berezowski M.: Śmierć senatora z 15,—
 9. Bronisławski J.: Fałszywa droga z 20,—
 10. Bundeswehra — armia agresji. Praca zbiorowa z 20,—
 11. Grzybowski K.: Ojczyzna, naród, państwo z 15,—
 12. Hillebrandt B.: Młodzież Warszawy w walce z okupantem z 25,—
 13. Historia gospodarcza świata XIX i XX wieku. Praca zbiorowa z 60,—
 14. Hollos E.: Kim byli, czego chcieli? z 30,—
 15. Iskier przewodnik po stolicach świata z 50,—
 16. Julien C.: Imperium amerykańskie z 65,—
 17. Klafkowski A.: Granica polsko-niemiecka po II wojnie światowej z 10,—
 18. Kobieta w walce. Praca zbiorowa z 24,—
 19. Kowalski W. T.: Walka dyplomatyczna o miejsce Polski w Europie 1939—1945 z 80,—
 20. Liebfeld A.: Henry Ford — legenda i rzeczywistość z 35,—
 21. Lobman J.: Miliard ludzi szuka drogi z 55,—
 22. Machejek W.: Poselskie potyczki z 30,—

23. Madej Z.: Nauka i rozwój gospodarczy z 15,—
24. Malinowski M., Przygoński A., Kołomejczyk N.: Polska Partia Robotnicza (Kronika I. 1942—V 1945) z 35,—
25. Michajłow N. A.: Pokój śnił nam się tylko z 15,—
26. Mysiek W.: Historia Kościoła Katolickiego w Polsce w latach 1918—1945 z 25,—
27. Nguyen-Dihn-Thi: Podniebny lot z 12,—
28. Nikitina G. S.: Państwo Izrael z 35,—
29. Pamiętniki Osadników Ziemi Odzyskanych. Praca zbiorowa z 65,—
30. Polewoj B.: Notatnik z Norymburgi z 20,—
31. Poniatowski Z.: Pochodzenie chrześcijaństwa z 35,—
32. Reniak M.: Droga z Monachium z 20,—
33. Rocznik polityczny i gospodarczy 1969 z 90,—
34. Schreyer W.: Oczy djeła z 25,—
35. Słownik wychowania obywatelskiego z 70,—
36. Społeczeństwo polskie w XXV-leciu PRL z 45,—
37. Synowie Pułków. Praca zbiorowa z 24,—
38. Świat w przekroju z 100,—

39. Waclawek J.: Socjalistyczne stosunki w zakładzie pracy z 25,—
 40. Wroński S., Zwolakowa M.: Polacy — Żydzi 1939—1945 z 120,—
 41. Zienkowski L.: Dochód narodowy i wytwarzanie — podział z 18,—
 42. Żukow G. K.: Wspomnienia i refleksje z 40,—
- KSIAZKI PREMIOWE**
- 1p. Frelak R.: Powrót z 30,—
 - 2p. Kurkiewicz W.: Kalendarium PRL z 25,—
 - 3p. Łossowski P.: Żołnierze minionych lat z 22,—
 - 4p. Pamiętniki oficerów. Praca zbiorowa z 35,—
 - 5p. Pawlak W.: Księga zamachów z 30,—
 - 6p. Siemek J.: Śladami kłatwy z 28,—
 - 7p. Żukowski W.: Kierunek Berlin z 25,—
 - 8p. Mała Encyklopedia Powszechna (MEP) z 250,—
- PODKREŚLAMY**
- że Klub Książki „Człowiek — Świat — Polityka” 1970 zapewnia

swoim członkom następujące przywileje i ułatwienia:

- wybór najcenniejszych tytułów społeczno-politycznych,
- bezpłatną dostawę do domu,
- premie w książkach i bonach książkowych.

Do Klubu Książki „Człowiek — Świat — Polityka” może wstąpić każdy, kogo interesują sprawy społeczno-polityczne, wydarzenia w kraju i za granicą, kto chce uzyskać pełną i rzeczową odpowiedź na wiele pytań z dziedziny aktualnej polityki, kto zarazem:

- nadesłanie odpowiednie zgłoszenie,
- zamówi książki,
- opłaci lub zobowiąże się do wykupowania zamówionych książek w miarę ich ukazywania się.

Zwracamy uwagę, że opłata należności z góry pozwala uniknąć dodatkowych manipulacji związanych z pobraniem pocztowym.

Wyjaśniamy, że informacje o programie Klubu oraz szczegółowe omówienia książek klubowych znaleźć można w całej prasie.

Przypominamy, że zgłoszenia i wpłaty przyjmują wszystkie księgarnie „Domu Książki”.

Wytnij i prześlij do Domu Książki

Oddatek dla PKO

Zł _____ gr _____

słownie złotych _____ groszy jak wyżej _____

wplacający _____

Dokładny adres _____

na r-k bieżący pomocniczy w Oddziale PKO **RZESZÓW** -pk- 11

Nr 9-6-15

Państw. Przedsięb. „Dom Książki” Księgarnia Klubowa Rzeszów, ul. Jagiellońska 1

stempel dzienny _____ Oplatę pobierze PKO z rach. biż. _____ podpis pracownika _____

Oddatek dla posiadacza rachunku

Zł _____ gr _____

słownie złotych _____ groszy jak wyżej _____

wplacający _____

Dokładny adres _____

na r-k bieżący pomocniczy w Oddziale PKO **RZESZÓW** -pk- 11

Nr 9-6-15

Państw. Przedsięb. „Dom Książki” Księgarnia Klubowa Rzeszów, ul. Jagiellońska 1

stempel dzienny _____ Oplatę pobierze PKO z rach. biż. _____ podpis pracownika _____

Potwierdzenie dla wplacającego

Zł _____ gr _____

słownie złotych _____ groszy jak wyżej _____

wplacający _____

Dokładny adres _____

na r-k bieżący pomocniczy w Oddziale PKO **RZESZÓW** -pk- 11

Nr 9-6-15

(Państw. Przedsięb. „Dom Książki” Księgarnia Klubowa Rzeszów, ul. Jagiellońska 1)

stempel dzienny _____ Oplatę pobierze PKO z rach. biż. _____ podpis pracownika _____

D.S. Zam. 2109

WRAZOWEJ O WYPELANIANTU BLANKIETU NA ODWROTCIE

